Moim celem jest droga

Aaaaaaaaaa

*Z **Ewą Świderską**, która od pięciu lat jest w solowej podróży rowerem po świecie, rozmawia Jakub Terakowski*

Minęło ponad pięć lat, odkąd sprzedałaś mieszkanie i wyruszyłaś w drogę... Dość niebanalnie...

– A zaczęło się banalnie.

Czyli jak?

– Od małego, czerwonego reksia, na którym w wieku czterech lat przejechałam samodzielnie kilka pierwszych metrów. Potem już dość szybko doszłam do wprawy, lecz w tamtych czasach bardziej pochłaniała mnie piłka nożna. Grałam w nią z chłopakami, którzy najczęściej, wykorzystując moje gabaryty, wyznaczali mi miejsce w bramce... (*śmiech*).

Gabaryty?

– Miałam wówczas kłopoty z nadwagą, więc swoją tuszą wypełniałam dużą część bramki... Notabene nadwaga towarzyszyła mi przez wiele lat i dopiero podczas wypraw rowerowych udało mi się jej pozbyć. Nigdy jednak nie wsiadłam na rower z myślą o straceniu zbędnych kilogramów. Jazda po prostu zawsze sprawiała mi ogromną przyjemność. Pierwszy prawdziwy rower dostałam na I Komunię Świętą. To był popularny wówczas jubilat na 20-calowych kołach. Pokonałam nim setki okolicznych kilometrów, zaczynając od mazowieckich łąk i obrzeży Puszczy Kampinoskiej. Dawał mi poczucie swobody i niezależności. Nie rozstałam się z nim nawet po przeprowadzce do Warszawy i chociaż miałam już wtedy inny, lepszy rower, jubilat przez długi czas stał w mojej piwnicy. Aż w końcu, potrzebując więcej miejsca, z bólem serca wystawiłam go na śmietnik. Zniknął błyskawicznie. Mam nadzieję, że nadal wiernie komuś służy.

A ten lepszy rower?

– Ukradziono mi spod sklepu. Był piękny i bardzo mi bliski. Pieniądze na jego zakup dostałam od mamy, po śmierci taty, który – jak się wtedy okazało – założył potajemnie lokatę dla nas. Na tym rowerze wybrałam się na pierwszą zagraniczną eskapadę, zresztą zarobkową, bo piastowałam funkcję drugiego pilota grupy amerykańskich seniorów. Pokonaliśmy trasę z Wiednia do Pragi. Uroki zagranicznych wojaży zaczęłam zatem poznawać dość późno, będąc już niezbyt stateczną trzydziestolatką. Brak stateczności zresztą, w przeciwieństwie do wieku, pozostał mi nadal... (*śmiech*).

Gdzie zatem prowadziły trasy Twoich następnych wojaży?

– W roku 2004, szukając grupy podróżującej na rowerach, do której chciałam dołączyć, trafiłam do Stowarzyszenia Crotos. Pojechałam z nimi do Grecji, spodobało mi się, dołączyłam więc do zespołu i przez kilka lat współorganizowałam ich kolejne wyprawy. Wzięły w nich udział setki osób. W końcu, już trochę zmęczona zgiełkiem, postanowiłam wrócić do solowych podróży. A do tego – znużona też codziennym, przewidywalnym życiem stacjonarnym – zdecydowałam się wyruszyć w drogę. Nic mnie tu nie trzymało, rodzice odeszli, rodziny nie założyłam, więc chociaż byłam wolna jak ptak, poczułam, że mam ochotę na więcej wolności. Sprzedałam mieszkanie po rodzicach, wynajęłam swoje, kupiłam nowy rower, sprzęt biwakowy oraz bilet na Filipiny: w jedną stronę... Tak zaczęła się moja podróż i życie na rowerze, które trwa do dzisiaj.

Podobno jesteś jedyną Polką podróżującą solo od tak dawna...

– Podobno, bo nie próbowałam zweryfikować tej informacji.

A dlaczego podróżujesz samotnie?

– Unikam słowa samotnie, mówię solo lub w pojedynkę, bo samotność kojarzona jest negatywnie, z dyskomfortem i niechcianą izolacją. A ja, jadąc solo, nie czuję się i nie jestem osamotniona. Niekiedy, po spotkaniu z kimś miłym, przez jakiś czas czuję smutek i brak, lecz w pojedynkę jest mi najlepiej. Lubię chodzić swoimi ścieżkami, lubię spać długo, pakować się bez pośpiechu, a przed wyruszeniem w drogę wypić dwie kawy. Jazda, jazdą, ale leniwe poranki są dla mnie bezcenne; bo zmęczyć się zdążę na trasie... (śmiech). Cóż, przyznaję, że trudno mi dostosować się do oczekiwań i potrzeb osoby towarzyszącej. W podróży drobiazgi typu którędy i jak szybko jechać, czy gdzie i na jak długo się zatrzymać, potrafią urosnąć do rangi problemu i powodować konflikty. A ja nie lubię konfliktów, dlatego wolę sama decydować o sobie. Cenię swobodę i niezależność.

Na swoim blogu opublikowałaś obszerny poradnik dla kobiet podróżujących samotnie...

– Nie prowokuj wyglądem lub zachowaniem; stanowczo i jednoznacznie odrzucaj propozycje „nie do odrzucenia". Podstawowa zasada brzmi: albo prosisz gospodarzy o rozbicie namiotu na ich terenie, albo się ukrywasz. Jeżeli planujesz nocleg na dziko, czyli w namiocie, nie wypytuj o miejsce, aby w nocy nie mieć nieproszonych gości. Namiot rozstawiaj tuż przed zmrokiem, nie używaj latarki, a jeżeli ktoś zdemaskuje twój biwak, to – jakkolwiek jesteś zmęczona – zmień miejsce. Gwoli bezpieczeństwa możesz mieć jakieś zabudowania w zasięgu wzroku (ale nie bliżej niż kilometr, bo psy będą szczekać). Bywa jednak różnie. Raz, w Bieszczadach, rozbiłam namiot na czyimś podwórku, a potem nietrzeźwy gospodarz próbował odwiedzić mnie o północy... Co jeszcze? Nie mów obcym, dokąd jedziesz, mów za to znajomym.

Strach ruszyć w drogę, słuchając Ciebie...

– Niesłusznie. Przekonałam się, że kobieta podróżująca solo zazwyczaj wzbudza uczucia opiekuńcze, a nie chęć skrzywdzenia.

Czy udało Ci się zatem uniknąć złych przygód, stosując te własne recepty?

– Niestety, nie. To jednak nie wina recept. W Iranie padłam ofiarą próby gwałtu oraz kilku bardzo nieprzyjemnych incydentów. Nie chcę znów opowiadać o tym, lecz na moim blogu opisałam wszystko bardzo dokładnie. Opublikowałam ten tekst ku przestrodze. Umieściłam w nim także relacje innych podróżniczek. Iran – szczególnie centralny i południowy – to nie jest miejsce dla rowerowych solistek. Poza tym jednak nie miałam złych przygód.

Na jakim rowerze podróżujesz?

– Na znakomitym. Nie znam się na technice, więc – aby uniknąć awarii – kupiłam najlepszy, na jaki było mnie stać. To Koga World Traveller, specjalnie pojechałam po niego do Berlina. Zawiodły mnie tylko hamulce hydrauliczne, których w Azji nigdzie naprawić nie sposób, dlatego wymieniłam je na zwyczajne, szczękowe. Poza tym jest – odpukać – niezawodny. Warto było wydać na rower tak dużo, aby potem, po drodze mieć spokój.

Przez pięć lat obyło się bez awarii?

– Tak, z tym, że w ubiegłym roku, w Uzbekistanie wjechał we mnie samochód i uszkodził mi tylne koło, chociaż obręcz była pancerna. W lokalnym warsztacie, naprawiając je, użyto lokalnych części, więc zaczęło szwankować. Przy najbliższej okazji sprowadziłam oryginalne.

MUM EWY ŚWIDERSKIEJ

Aaaaaaaaaaaaaa aaaaaaaaaaaaaa

A Tobie nic się nie stało?

– Chyba bardziej ucierpiał sprawca wypadku. Błagał, aby nie wzywać milicji, więc nie zrobiłam tego, skontaktowałam się tylko z konsulem. Okazało się jednak, że już ktoś inny zadzwonił na posterunek. Na wieść o tym sprawca... rozpłakał się. Dorosły mężczyzna! Zupełnie wtedy tego nie zrozumiałam. Dopiero później powiedziano mi, że milicja w Uzbekistanie jest skorumpowana jak żadna i pechowy kierowca mógł mieć bardzo poważne kłopoty. Ale nie miał, również dlatego, że po wypadku pomógł mi, a ja nie wniosłam przeciw niemu skargi.

Uf... No, to wróćmy do meritum. Bagaż przewozisz w sakwach?

– Tak, w czterech, a do tego mam namiot. Objuczyłam rower do granic możliwości, w kwestii ekwipunku jestem totalną maksymalistką. Lubię mieć przy sobie wszystko, co może się przydać. Dziesiątki razy przeglądałam swój dobytek z zamiarem pozbycia się zbędnych kilogramów. Na próżno, bo wszystko wydaje mi się potrzebne. Co więcej, wciąż przybywa mi nowych drobiazgów. Chciałabym mieć lżejszy rower, ale nie potrafię. W efekcie często prowadzę go pod górę. No cóż, chyba podążam pod prąd modzie na backpacking... (*śmiech*). Inna sprawa, że latem wożę ze sobą ciuchy zimowe, a zimą letnie; takie są uroki długich wypraw.

Sporo miejsca na swoim blogu poświęcasz „nieoczywistemu" ekwipunkowi: mała kłódka, zwijany plecaczek, stopery, grzałka...

– Teraz mam dwie.

A dlaczego dwie?

– Na wypadek, gdyby się jedna zepsuła... (*śmiech*). Grzałka jest dla mnie bardzo ważna, bo bez kawy czy herbaty nie potrafię się obyć. A w razie potrzeby można nią także ugotować ziemniaki, tudzież makaron. W garnku, który także wożę... (*śmiech*).

„Przejściówkę" do grzałki też wozisz?

– Oczywiście, nawet dwie, bo wtyczki nie zawsze pasują do gniazdek. „Przejściówkę" zawsze warto mieć ze sobą, tym bardziej, że „nic" nie waży.

Podobnie jak stopery...

– I są dla mnie równie ważne jak grzałka, bo jestem bardzo wrażliwa na dźwięki. W wielu miejscach bez nich nie mogłabym zasnąć. Teraz chronią mnie przed hałasem, ale na samym początku przychodziły też z odsieczą mojej wyobraźni.

W jaki sposób?

– Bo pierwszych dwóch samotnych nocy pod namiotem nie przespałam w ogóle, nadsłuchiwałam wszystkich odgłosów, a wyobraźnia podpowiadała mi coraz okropniejsze scenariusze. Nazajutrz przewracałam się więc ze zmęczenia, ale trzeciej nocy założyłam stopery i spałam jak suseł. Obudziłam się po dziesięciu godzinach, cała, zdrowa i wypoczęta. Stopery służyły mi też podczas jazdy do tłumienia hałasu i zgiełku ulicznego, lecz tylko w Chinach, bo na co dzień nie zatykam niczym uszu, nie używam słu- ▸

Aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa

chawek, nie słucham muzyki, to niebezpieczne i ogranicza doznania.

Z lekkich drobiazgów wymieniasz też gąbkę...

– Bo pozwala umyć się w miseczce wody, a – jakkolwiek trudno w to uwierzyć – są kraje, gdzie ta jest nie do zdobycia. Jedna z koleżanek przywiozła mi gąbkę, jaką lubię, do Kambodży, a druga – do Chin.

Coś jeszcze przywożono Ci po drodze?

– Pałąki do namiotu, bo oryginalne złamały się dość szybko (teraz wożę ze sobą dwa zapasowe). I kremy z filtrem UV, bo w Chinach są nieprawdopodobnie drogie. A poza tym cały łańcuszek życzliwych ludzi pomógł mi przekazać do naprawy zepsuty aparat fotograficzny i odebrać go z powrotem.

Cięższych rzeczy wymieniasz więcej: komputer, kamerka, telefon dual SIM, smartfon, power bank...

– Komputer zastępuje mi notes. Smartfon służy do nawigacji. Wyruszając w drogę, miałam nadzieję, że uda mi się poprzestać na papierowych mapach, ale rzeczywistość skorygowała te wyobrażenia i na Filipinach kupiłam sobie smartfon. Tradycyjne mapy są coraz trudniejsze do zdobycia i mniej wygodne w użyciu niż smartfon. Power bank też nabyłam niedawno. Oferuje mi sporą niezależność, chociaż i tak co parę dni muszę zrezygnować z noclegu w namiocie i zatrzymać się w miejscu z dostępem do prądu. To znacząco wpływa na moje plany, bo w takich sytuacjach albo szukam kogoś na couchsurfingu lub warmshowers, albo taniego lokum do wynajęcia. Ale bez power banku zdarzały mi się dawniej zupełnie niepotrzebne postoje – gdzieś na stacjach benzynowych czy w kawiarniach – służące tylko naładowaniu baterii.

Jak zatem wygląda Twoja rowerowa codzienność?

– Trudno powiedzieć. To nie jest wyprawa skądś – dokądś, zaplanowaną trasą i zgodnie z harmonogramem. Czasem jadę dzień po dniu przez miesiąc, a innym razem zatrzymuję się gdzieś na trzy tygodnie, chociaż nie miałam takiego zamiaru. Robię sobie przerwę, bo poczułam się dobrze, bo kogoś spotkałam, coś zobaczyłam lub o czymś chcę spokojnie napisać. Rower daje mi poczucie wolności, a życie w podróży jest prostsze od stacjonarnego. Ważny jest w nim tylko wierzchołek piramidy potrzeb Roberta Maslowa, reszta nie zaburza spokoju.

Do zaspokojenia potrzeb niezbędne są jednak pieniądze...

– Po drodze, z zasady, nie pracuję. Chcę napisać książkę i tym się ostatnio w podróży zajmuję, lecz tego zajęcia nie traktuję jak pracy. Praca i podróż są dla mnie nie do pogodzenia. A poza tym, nie bardzo wiem, co mogłabym robić tak doraźnie. Rozmawiałam ostatnio z Adelą Tarkowską, która na Cyprze śpiewała zarobkowo, ale na to brakuje mi odwagi... (*śmiech*).

Aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa

Ale bez pracy nie ma kołaczy...

– Na pierwsze dwa, trzy lata skromnego życia w podróży przeznaczyłam pieniądze ze sprzedaży mieszkania po rodzicach. Potem na osiem miesięcy zatrzymałam się w Chinach, gdzie uczyłam języka angielskiego, zarabiając nieźle. Poza tym na bieżące wydatki przeznaczam pieniądze z najmu mieszkania.

Gdzie byłaś przez te pięć lat w drodze?

– W Korei Południowej, Laosie, Chinach, Filipinach, Birmie, Tajlandii, Japonii, Turcji, Iranie, Azji Centralnej, w sumie odwiedziłam 20 azjatyckich państw. A wcześniej kolejnych 20 w Europie. Byłam też w USA. Dwa lata temu, na prośbę znajomej cyklistki, podsumowałam przejechane kilometry, wyszło blisko 60 tysięcy, ale nie chcę nimi epatować. To nie jest żaden projekt, nie ustanawiam żadnych rekordów, z nikim nie rywalizuję. Podróżuję, bo lubię. Mam licznik, ale tylko z ciekawości, aby wiedzieć, ile kilometrów pokonałam. I zazwyczaj jest to mniej, niż chciałam, lecz wcale mnie to nie martwi... (*śmiech*).

A ile chcesz zazwyczaj?

– 70 dziennie, ale – gdy dni są krótkie – to 40, 50 też mnie satysfakcjonuje. Nie nazywam tej peregrynacji wyprawą, lecz życiem w drodze, gdyż wyprawa ma konkretny, zaplanowany przebieg i cel, do którego zmierza, a moim celem jest droga. Lecąc po raz pierwszy na Filipiny, nie wiedziałam, ani co tam będę robić, ani jak długo tam będę, ani kiedy wrócę do Polski. Jedynym ograniczeniem były wizy. Właściwie tylko etap z Chin do Polski miał wyznaczone punkty startu i mety, reszta była chaosem. Jedynym moim obowiązkiem jest troska o mieszkanie, które mnie w dużym stopniu utrzymuje. Dlatego raz, gdy zupełnie niespodziewanie wyprowadziła się stamtąd lokatorka, musiałam przerwać podróż i niezwłocznie wrócić do Polski. Kupiłam wówczas bilet na samolot w dwie strony. Wyremontowałam mieszkanie, wynajęłam ponownie i poleciałam do Korei z powrotem. Poza tym przez te pięć lat byłam w Polsce trzykrotnie, również z powodu mieszkania, lecz już zgodnie z wcześniejszą umową.

Czyli nie ma żadnego punktu podróży, w którym akurat jesteś – na przykład półmetka, ani żadnej mety, do której zmierzasz?

– Nie ma. Im dłużej jestem w drodze, tym bardziej mi się podoba, i myśl o jej zakończeniu oddala się, zamiast przybliżać... Z pewnością meta gdzieś jest, kiedyś osiądę na stałe, lecz nie znalazłam jeszcze miejsca, które polubiłabym bardziej niż drogę.

Mój poprzedni rozmówca pojechał do Azji, bo zawsze o niej marzył, a Ty?

Aaaaaaaaaaaaaa
aaaaaaaaaaaaaa

FOT. 3X ARCHIWUM EWY ŚWIDERSKIEJ

– A ja pojechałam do Azji, bo... zawsze marzyłam o Ameryce Południowej... (*śmiech*). Azja miała być tylko przystankiem po drodze, treningiem, prologiem. Nie zamierzałam zatrzymać się w niej na dłużej, lecz zachwyciła mnie. I tak mi się tu podoba, że bardziej marzę dziś o kolejnych podróżach po Azji, niż o porzuceniu jej dla Ameryki.

A co tak szczególnie zachwyciło Ciebie w Azji?

– Długo by wymieniać... Wymienię więc tylko: brak agresji, uprzejmość, życzliwość, uśmiech. Japońskie onseny, czyli łaźnie publiczne zasilane wodą z gorących źródeł – uwielbiałam z nich korzystać. I jeszcze sieć dróg rowerowych w Korei Południowej – to prawdziwe autostrady dla cyklistów.

Coś zaskoczyło?

– Najbardziej? Tylko jedno? To może półgodzinne wstrzymanie ruchu lotniczego nad Koreą Południową podczas matury, gdy uczniowie zdawali egzamin ustny z języka angielskiego.

A coś zmęczyło?

– Hałas i brud, szczególnie w Chinach. Plaga palaczy papierosów, również w Chinach. I permanentna inwigilacja w Birmie, tam niemal wciąż jechali za mną tajniacy na motorach. Czasem udawało mi się urywać, a raz przysporzyłam im nie lada kłopotu, gdy – z braku innego miejsca – poprosiłam o nocleg miejscową rodzinę. Moi gospodarze, tak jak prawo nakazuje, poinformowali o tym policję, która niezwłocznie przyjechała na miejsce. Ponieważ jednak oni również – po wykonaniu setki telefonów – nie znaleźli dla mnie noclegu, więc pozwolili mi zostać u miejscowych, co jest zabronione. Poprosili tylko, aby nikomu o tym nie mówić, więc napisz to szeptem... (*śmiech*).

Jak się czujesz po tylu latach w drodze? Nic Ci nie dokucza? Plecy, kolana, kręgosłup?

– Odpukać, dobrze, ale staram się nie nadwyrężać. Szczególnie dbam o kolana, które uszkodziłam kiedyś, dawno temu, próbując dotrzymać komuś tempa. Pod górę więc dość często prowadzę rower. Czasem dokucza mi kręgosłup, ale zazwyczaj nie podczas jazdy, lecz gdy zbyt długo chodzę.

A choroby tropikalne, malaria? Jechałaś przecież przez tereny nią zagrożone...

– Chyba mam wyjątkowe szczęście, bo przez całą podróż przez Azję dwukrotnie cierpiałam na rozstrój żołądka i nic poza tym. Może mam też nieprzeciętnie odporny organizm, bo kupowałam jedzenie w najtańszych przydrożnych budkach. Staram się jednak być przezorna, więc przed wyjazdem wzięłam wszystkie zalecane szczepienia i wykupiłam ubezpieczenie zdrowotne. Natomiast w kwestii malarii: lekarz przepisał mi malarone, preparat koszmarnie drogi i obciążający organizm. Z trzech opakowań, które kupiłam, wzięłam dwie tabletki, bo wpadłam w panikę, gdy coś mnie pogryzło w południowych Chinach, czyli w bardzo malarycznym regionie. Przed malarią najlepiej jednak chronią rozmowy z miejscowymi, którzy zawsze uprzedzą, jeżeli w pobliżu znajduje się ognisko epidemii. Wtedy jest czas albo na wybranie okrężnej drogi, albo na profilaktyczną kurację malaronem. Poważnym zagrożeniem jest też denga, ale – dzięki Bogu – również mnie omijała.

Nigdy nie pomyślałaś, że masz już dość tego życia w drodze?

– Nie, absolutnie nigdy i ani przez chwilę! Czasem, owszem – przyznaję, że mam już dość wszystkiego, ale to może się zdarzyć każdemu i wszędzie, nawet w najmilszych domowych pieleszach... (*śmiech*).

● **Ewa Świderska.** Urodziła się w Sochaczewie, mieszkała w Warszawie. Współorganizowała wyprawy Stowarzyszenia Crotos. Od pięciu lat w solowej podróży rowerem po świecie. Prowadzi blog www.ewcyna.com